



Prywatny czy państwowy?

Amerykańskie uniwersytety w skrócie

TOMASZ TAYLOR

W Polsce rozwija się dyskusja nad zaletami i wadami prywatyzacji szkolnictwa wyższego. Jako fizyk pozostaję zwykle na marginesie zagadnień społecznych i politycznych, tym niemniej mogę podzielić się kilkoma spostrzeżeniami z Ameryki.

Świetnie pamiętam moje zdziwienie i wręcz niepokój, kiedy w maju 1989 r. dowiedziałem się, że Uniwersytet Northeastern, który zaproponował mi posadę w Bostonie, jest „prywatny”. Obawiałem się, że właściciel, paląc cygaro, rozkaże mi skonstruować teorię antygravitacji, pozwalającą na odbijanie sowieckich pocisków rakietowych. W rzeczywistości nie ma takiego właściciela, palenie jest zabronione (antygravitacja nie istnieje, ale pociski pozostały), a Northeastern, który jest jednym z dużych prywatnych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych (około 20 000 studentów), jest w gruncie rzeczy bardzo podobny do uniwersytetów państwowych. Chciałbym wyjaśnić, że w kontekście Ameryki, państwowy – „State University” oznacza uniwersytet stanowy, czyli dofinansowany bezpośrednio z budżetu stanowego, ponieważ tylko kilka uczelni, głównie akademii wojskowych, utrzymywanych jest przez rząd federalny. Kalifornia ma największą sieć uniwersytetów stanowych, w których studiuje prawie ćwierć miliona osób.

Z reguły uniwersytety prywatne są mniejsze od stanowych. Największy prywatny uniwersytet to New York University, na którym studiuje 38 000 osób, podczas gdy uniwersytety stanowe mają często więcej niż 50 000 studentów. Słynne na całym świecie uczelnie, takie jak Harvard (21 000), Stanford (16 000) i Princeton (8 000) są prywatne. Uniwersytety te są zarządzane przez niezależne rady powiernicze. Ich budżet oparty jest na dochodach z fundacji („Endowment” – pochodzące z darowizny) i opłatach studentów. Badania naukowe sponsorowane są

przez granty pochodzące zarówno od prywatnych przedsiębiorstw, jak i od władz federalnych. Wysoka jakość badań naukowych zapewnia, że doskonałe uczelnie prywatne wygrywają wiele konkursów o finansowanie projektów badawczych. Istnieje także ogromna liczba małych, często całkiem dobrych uczelni, zwanych „College”, dla 2 000 lub 3 000 studentów.

Z polskiej perspektywy trudno zrozumieć, dlaczego zdolni licealiści marzą o dostaniu się do Amherst College, Wellesley College lub Swathmore College, o których nikt nie słyszał poza Stanami Zjednoczonymi. Te uczelnie nie mają nawet programów doktoranckich! Ponadto są nieprawdopodobnie drogie: strona internetowa Amherst College podaje w tym roku akademickim 63 259 dolarów jako „koszt uczęszczania”, czyli czesne, akademik etc. Co w zamian oferuje? Zajęcia w małych grupach, zwykle mniej niż 15 studentów w sali wykładowej, a więc bliski kontakt z nauczycielami akademickimi, którzy są całkowicie oddani pracy dydaktycznej. Intensywny program studiów zmusza studentów do stuprocentowego skupienia się na nauce. Małe uczelnie prywatne przyciągają studentów z ogólnymi zainteresowaniami, nazywanymi tutaj „liberal arts”, zwykle z rodzin podobnych do siebie pod względem etnicznym i zarobkowym. Harvard i większe uczelnie prywatne przyciągają bardziej różnorodne grupy studentów z bardziej konkretnymi zainteresowaniami.

Większość Amerykanów, około 70% według Ministerstwa Edukacji (Department of Education), studiuje jednak na uniwersytetach stanowych, które są podobne do mojej Alma Mater – Uniwersytetu Warszawskiego. Uczelnie te dofinansowane są przez władze stanowe, co pozwala na obniżenie opłat studenckich. Ich rady powiernicze kontrolowane są przez rządy stanowe. Jeśli cho-





dzi o poziom naukowy, uczelnie te nie ustępują prywatnym. Pamiętam moje zaskoczenie, gdy na seminarium na uniwersytecie stanu Illinois w Champaign-Urbana pojawił się wynalazca tranzystora i twórca teorii nadprzewodnictwa, John Bardeen. Sam kalifornijski uniwersytet w Berkeley może pochwalić się 22 laureatami Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Uczelnie stanowe są silnymi konkurentami w państwowych i prywatnych konkursach o finansowanie projektów badawczych.

Paradoksalnie, z ideologicznego punktu widzenia uniwersytety stanowe są bardziej „amerykańskie” od prywatnych, bo proponują lepszą ofertę: podobny produkt wyższego wykształcenia, ale znacznie taniej. Podczas gdy czesne na uniwersytecie Harvarda kosztuje w tym roku 38 000 dolarów, Kalifornijczyk może studiować w Berkeley za 7 000 dolarów. Nawet 7 000 dolarów może wydawać się astronomiczną sumą – należy jednak pamiętać o wielu możliwościach stypendiów i nisko oprocentowanych pożyczek z kas stanowych i federalnych. W praktyce nie zdarza się, aby zdolny ale biedny licealista musiał rezygnować z przyjęcia na drogi uniwersytet. Poza tym, w odróżnieniu od Polski, wielu studentów pra-

cuje zarobkowo wieczorami i w weekendy. W Berkeley prawie wszystkie restauracje obsługiwane są przez studentów.

Jaki jest z tego morał dla Polski? Polskie uniwersytety są po prostu za duże, aby naśladować model amerykańskich uniwersytetów prywatnych. Poza tym, trudno sobie wyobrazić, aby Uniwersytet Warszawski lub Jagielloński nagle zebrał 32 miliardy dolarów darowizny, uzbieranej przez Harvard University w ciągu trzystu lat, a nawet 600 milionów spoczywających w kasie mojego uniwersytetu jest nieprawdopodobne. Model uniwersytetów stanowych, w szczególności sieć Kalifornii, jest bardziej realistyczny. Teoretycznie budżet oparty nie tylko na funduszach państwowych, ale także na opłatach czesnego, jest możliwy, pod warunkiem, że studenci będą mieli szeroki wybór stypendiów i pożyczek, a program studiów pozwoli na pracę zarobkową po zajęciach. Brak wyraźnej korelacji między poziomem programów badawczych i formalnym właścicielem uniwersytetu wskazuje na ważną rolę rad powierniczych, państwowych lub niezależnych od organów państwowych, w popieraniu działalności naukowej.

TOMASZ TAYLOR

Department of Physics, Northeastern University
Boston, MA 02115, U.S.A.

Wreszcie radość

MAGDALENA BAJER

Od początku, tj. od ośmiu lat, mam zaszczyt i przyjemność być jurorem w konkursie „Forum Akademickiego” (FA), zatytułowanym „Skomplikowane i proste. Młodzi uczeni o swoich badaniach”. Za zaszczyt organizatorom dziękuję, a przyjemność nie jest tym razem słowem z okolicznościowej formułki, lecz wyznaniem autentycznego przeżycia, które chcę przybliżyć Czytelnikom „PAUzy Akademickiej”. Tym bardziej że w numerze 197 tygodnika mieliśmy (czytelniczy i redakcja) podobną przyjemność – przy lekturze artykułu o Wrocławskiej Akademii Młodych Uczonych i Artystów.

W konkursie „Forum Akademickiego” uczestniczą najczęściej doktoranci lub świeżo upieczeni doktorzy, niekiedy ludzie po magisterium – z bardzo różnych dziedzin. Rejestr podejmowanych tematów jest interesującym i wymownym świadectwem różnorodności zainteresowań, a także śmiałego sięgania po problematykę nową i najnowszą, gdzie obietnice znaczących wyników nie są „pewniakami”, ale stanowią ponętną szansę na znalezienie się wśród czołówki. Celem organizatorów jest poznanie owej mapy zainteresowań, zarazem uczestnictwa

ludzi przed trzydziestym piątym rokiem życia w nauce, a także wyłowienie talentów w dziedzinie popularyzacji nauki, żeby je wspierać, najpierw przez publikowanie na stronach FA najlepszych prac, dalej może poprzez inne formy mecenatu.

Rozstrzygnięty w grudniu ub. roku konkurs był w mojej – wiekowego dziennikarza „naukowego” – ocenie przełomowy. Spośród 174 nadesłanych prac (liczba parokroć przewyższająca poprzednie edycje) trudno było wybrać trzy nagrodzone i cztery wyróżnione, jak przewiduje regulamin.

W tym miejscu wypada przedstawić laureatów: pierwszą nagrodę otrzymał mgr Miłosz Cybowski z University of Southampton, Wielka Brytania, za pracę pt. „Polacy w Southampton, zapomniany epizod Wielkiej Emigracji”, drugą mgr Adam Feliks Junka z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu za pracę „Jak potknąć się o słonia, czyli rozważania o biofilmie i antybiotykach”, trzecią dr Szymon Drobniak z Uniwersytetu Jagiellońskiego za pracę „Krótka historia zdrady”, o ptasich kopulacjach pozapartnerskich badanych na Gotlandii.



Wyróżniono prace: dr. inż. Adama Kuzdrałińskiego z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie pt. „Jak zdemaskować grzyby, czyli biotechnologiczny sposób na ekoproblemy”, dr. inż. Sławomira Milewskiego z Politechniki Krakowskiej pt. „Modelowanie zagadnień inżynierskich za pomocą metod bezsiatkowych – nadzieja dla mechaniki obliczeniowej czy chwilowa moda?”, mgr inż. Igi Tomczyńskiej z Instytutu Aklimatyzacji i Hodowli Roślin PIB „W pogoni za odpornością” i dr Małgorzaty Zadki „Czy gliniane tabliczki mogą powiedzieć coś o człowieku?”.

Rozszyfrowawszy godła, ucieszyliśmy się (jurorzy), że laury rozłożyły się między różne ośrodki naukowe, różne specjalności, między magistrów i doktorów.

Nie to stanowi przełom w dziejach konkursu. Pozytywnie zaskakującą nowością była duża liczba prac humanistycznych, jakkolwiek niektóre trudno jednoznacznie tak zakwalifikować, gdyż plasują się na pograniczach, jak np. badanie zasobów archeologicznych ukrytych pod ziemią, a lokalizowanych poprzez różnice w uprawach na danym terenie, dokumentowane specjalną techniką zdjęć lotniczych. Uczestnik tych badań, autor pracy konkursowej, musiał posiadać podstawową wiedzę z kilku dyscyplin, ale przede wszystkim coś, co nazwę intuicją metodologiczną, co pozwoliło stosować metodologie różnych nauk, których niepodobna przyswoić gruntownie, a trzeba wybrać to, co przydatne. Poziom pracy – tej i wielu innych – świadczy o tym, że preceptorzy kierują uwagę swoich uczniów ku pograniczom i pokazują, czego i jak tam szukać. Uczniowie skwapliwie podchwytyją te tropy.

Jakość prac, które, przy wszelkich zastrzeżeniach, określam jako humanistyczne, okazała się tym razem skokowo lepsza (to moja osobista radość). Młodzi uczeni wybierali oryginalne tematy, wykraczając poza referowanie drobnych testów psychologicznych, sprawozdania z terenowych badań etnograficznych i przyczynki historyczne – jak bywało wcześniej. Prezentowali „małe monografie” ważnych i aktualnych zagadnień, jak np. zjawisko *neo-noir* w literaturze i filmie, ewoluujące od portretów Drakuli i dywagacji nad homunkulusem do Matrixa i katastrofizmu zadziwiającego chwytami technologicznymi, a w literaturze od romansów szpiegowskich do czarnych autobiografii.

Uczestnicy konkursu „Skomplikowane i proste” od początku często opisywali staże naukowe w zagranicznych ośrodkach. W ostatniej edycji ujawniła się wyraźnie międzynarodowa współpraca młodych polskich badaczy jako rzecz coraz bardziej naturalna w ich życiowej i naukowej kondycji. Wiele nadesłanych prac powstało jako elementy szeroko zakrojonych programów – z reguły elementy istotne, poświadczające dobre miejsce w zespole badawczym złożonym z uczestników z różnych krajów. Przykładem tego jest udział polskiej archeolog w odkrywaniu kolejnych stadiów budowy i przebudowy świątyni na praskich Hradczanach, co wiąże się z poznawaniem nie do końca znanych (także Czechom) zdarzeń historycznych. Czytelnik nabiera pojęcia o związkach architektury sakralnej z polityką władców, także o skomplikowanych, czasem bardzo osobliwych, relacjach sąsiadujących narodów. Do tego dowiaduje się sporo o nowoczesnych metodach symulacji komputerowej, pomocnych archeologom i historykom.

Zadaniem konkursu, równorzędnym z informowaniem opinii publicznej o pracy młodych badaczy i jej rezultatach, jest prezentacja talentów popularyzatorskich. Zwracam na to szczególną uwagę jako wieloletni uczestnik dysput o tym, kto powinien przeniósć do świadomości społecznej to, co dzieje się w laboratoriach, bibliotekach domowych i pracowniach uczonych, jak to robić najskuteczniej, tj. tak, żeby ludzie ciekawi, a nie specjaliści lub specjaliści odległych dziedzin, pojmowali istotę rzeczy.

Od wielu lat na rozmaitych dziennikarskich forach wzdychamy do sytuacji, kiedy popularyzacją nauki zajmują się ludzie naukę uprawiający. Po lekturze prac konkursowych ostatniej edycji pomyślałam, że może należy to stwierdzenie wyrazić w czasie przeszłym. Okazało się bowiem, że wielu młodych autorów potrafi o tym, co skomplikowane, opowiedzieć prosto, a nie prostacko, wyczuwając trafnie możliwości odbioru trudnych i nowych informacji przez czytelnika ze średnim wykształceniem, także ambitnego ucznia i studenta, do których adresowane jest „Forum Akademickie”.

Truizmem jest konstatacja, że odbiór wiedzy „z pierwszej ręki” jest najbardziej wiarygodny, najlepiej przyjmowany. Lektura większości prac przekonywała, że autorzy piszą o tym, co sami robią, co ich osobiście pochłania, czego się po swoich badaniach spodziewają. Świadomość tego angażuje czytelnika, budzi pytania o szerszy kontekst, o źródła inspiracji, rodzi też wątpliwości i chęć dyskusji poprzez poznanie innych opinii o danym problemie, sięgnięcie do innych lektur. W taki sposób spełnia się podstawowe zadanie wszelkiej popularyzacji.

Dodatkowym istotnym atrybutem jest coś, co określiłabym integralnością narracji, czyli utrzymanie całego przekazu na jednolitym poziomie trudności czy też łatwości odbioru. Bywało z tym różnie w poprzednich edycjach konkursu (wciąż nie jest idealnie). Autorzy np. rozpoczynali lirycznym opisem przeżyć w opustoszałym nocą laboratorium albo w malowniczym krajobrazie, by gwałtownie przejść do – żargonem komentowanych – wzorów. Jedna z laureatek ostatniego konkursu zaciekawia odbiorcę na wstępie tak oto: „Utarło się jakoś przekonanie, że badania naukowe to zajęcie wzniosłe i oderwane od przyziemnej codzienności, a konfrontacja tej mylnej opinii z obiektem moich badań, potocznie zwanym pyrą, grulą lub kartoflem i kojarzącym się głównie jako dodatek do kotleta schabowego, niejednego już wprawiła w zdziwienie. Tym większe, im bardziej słuchacz zakłada, że ziemniak nie może mieć w sobie nic ciekawego”.

Popularyzacja uprawiana przez samych twórców nabiera ceny, zwłaszcza w dobie upowszechniania się niekontrolowanego dostępu do wszelkiej, także dotyczącej nauki, informacji. Umiejętność dzielenia się wiedzą o świecie, jaką się samemu, choćby w małym zupełnie stopniu, pomnożyło, konkuruje dzisiaj z różnego rodzaju „brykami”, wielokroć powielanymi przekazami, których najłżejszym grzechem jest banał, a bywają i ciężkie, jak po prostu fałsz. Dlatego ważne, by tę umiejętność dostrzegać, a dostrzeżoną wspierać i rozwijać. Stąd moja wdzięczność dla organizatorów konkursu „Skomplikowane i proste” oraz radość – trochę *contre coeur* – bo gdy wyrośnie pokolenie uczonych-popularyzatorów dziennikarce naukowi nie będą mieli co robić.

... ino oni nie chcom chcieć

Chciejstwo

Słowo „chciejstwo” – ukuty przez Melchiora Wańkowicza przepiękny odpowiednik angielskiego *wishfulthinking*, jest zwykle rozumiane w sensie raczej negatywnym, jako jeszcze jeden przykład z arsenału polskich wad narodowych. Zamiast skrupulatnego przygotowania do przeprowadzenia jakiejś akcji, liczenie na jakoś to będzie. Zwykle zresztą kończone klęską.

Chciałbym dzisiaj bronić tego pięknego słowa, które – jakby na to nie patrzeć – oznacza początek każdego właściwie działania. Istotnie, żeby coś przeprowadzić, najpierw trzeba CHCIEĆ. Podobno nawet chcieć – to moc. Tymczasem odnoszę wrażenie, że w naszym wspaniałym kraju jest to właśnie najbardziej deficytowy towar. Wszędzie słyszymy narzekania, wszędzie słyszymy, że trzeba by coś poprawić, ale na propozycję zabrania się do roboty odpowiedź jest niemal zawsze odmowna. Oczywiście zazwyczaj też dobrze umotywowana: to nie moja sprawa tylko władzy, źle się czuję, nie jestem przygotowany, nie mam narzędzi, tego się nie da zrobić, nie będę za kogoś tyrał, mam wykład w Antwerpii... Krótko mówiąc: nie chce mi się. Czasy się więc zmieniły. Naszą wielką wadą narodową nie jest już chciejstwo. Jest NIECHCIEJSTWO.

Co gorsza, atmosfera jest taka, że nawet Ci, którzy chcieliby wreszcie coś zrobić, nie mają odwagi się do tego przyznać (podobnie, powiedzieć publicznie, że Polska nie stoi w przededniu upadku, a zwłaszcza że mamy jakieś sukcesy – to tzw. obciach). A jeżeli się przyznają, zostają natychmiast okrzykami w najlepszym razie naiwniakami, a często kłamcami i oszustami, prowadzącymi podejrzane interesy lub próbującymi zbić kapitał polityczny. Stąd wiele pozytywnych działań tworzy się, że tak powiem, w podziemiu. Nikt nie chce się tym chwalić, bo to sprawa

wstydliva¹. Nie trzeba tłumaczyć, jak bardzo przeszkadza to w podejmowaniu i rozwijaniu nawet najbardziej godnych poparcia inicjatyw.

To, co prawda, nic nowego. Pisał o tym Wyspiański, pisał Witkacy, pisał Mrożek.

Dotyczy to szczególnie nauki. Tutaj naprawdę trzeba chcieć i nie można się tego wstydić. Potwierdzi to każdy, kto kiedykolwiek osiągnął choćby niewielki sukces. Uporczywe myślenie o problemie, podobne do bicia głową w mur. Bezsenne noce. Godziny spędzone w laboratorium lub w archiwum i przy komputerze. To wszystko naprawdę wymaga wielkiej motywacji, wymaga CHCIEJSTWA. Więcej, wymaga chciejstwa, które będzie zaraźliwe, które potrafi mobilizować otoczenie. A o to naprawdę trudno w atmosferze generalnej niemożności.

Ostatnio odżyła intensywna dyskusja, jak poprawić pozycję polskich uczelni w światowych rankingach. Jest oczywiście wiele czynników, które na to wpływają. Ale wydaje mi się, że decydująca jest chęć zabrania się do poważnej roboty. Żeby wszyscy, którzy są za to odpowiedzialni, faktycznie chcieli się przyłożyć.

Znakomicie streścił to kiedyś Prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej: wybieramy i popieramy takich, którzy mają pasję. Czyli – po prostu – takich, którym się CHCE.

Mam wrażenie, że nadszedł czas, żeby założyć klub takich, którym się chce. Tylko kto ZECHCE się tego podjąć?

ABBA

¹ Niedawno usłyszałem: Żadna praca nie hańbi. Z wyjątkiem pracy społecznej.

Życie
według
Adama
Korpaka



PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.